№ 2 XVII.

Cena 2 m.

Łazik



— Patrz-no, Wicek, dali nam bolszewicy anioła pokoju, ale z utrąconym nosem.
— Ano, boją się, widać, żeby nie wywąchał ich zamysłów.

NA ROZEJM.

Milczą okopy... I karabiny
W kozły zestawił pan sierżant-szef.
W gardłach miotaczy nudzą się miny,
Na szablach przyschła niezmyta krew.

Działa nie hukną z lasów gęstwiny,
Kula nie draśnie już ciepłych trzew —
Dziwnie się jakoś wloką godziny,
Bez echa milknie żołnierski śpiew.

Lecz jeśliś rozkaz dał, Komendancie,
Że bolszewika wystarczy prać —
U granic będziem „na spocznij“ stać.

A gdyby wrogi znów zbyt galancie
Do Polski lazły — psia takich mać!
Hej! Ino krzyknij: — W ordynku stańcie!

Jan Ost.

TERAZ POGADAMY.

A teraz pogadamy z naszym „bratem" z Pragi,
I wszystkie mu złodziejstwa jego rzucim w oczy.
Polska, chociaż zbolała, choć jeszcze krwią broczy,
przeciw czechom potrafi też podnieść miecz nagi.

Nam, gdy zajdzie konieczność, nie zbraknie odwagi.—
Do końca sen o Polsce prześnimy proroczy,
aż będzie wreszcie wolny śląski lud roboczy
i dojdziem do znaczenia, chwały i powagi.

Teraz mamy już pokój... Dziś nam nikt nie kole
mieczem boków. Dziś możem podnieść oręż luty.
Śląsk jest nasz!... o tę ziemię niech się świat okrwawia!...

A będzie traktat gwałtu mieczami rozpruty
i w ogniu walk, w orkanów najstraszliwszych kole
nasz oręż kres wyznaczy czeskiego bezprawia.

Zygmunt Zaleski.

HEJ, PANIE KAPRAL!

Hej, panie kapral, trudno uwierzyć,
Że już nie będziem tłuc się na Dźwiną,
Ni w marszach Polskę do Dniepru mierzyć
I słać patrole nad Berezyną!

W litewskich puszczach polaków imię
Pisać na krzyżach poległych w boju —
Iść do ataku na Mozyrz w zimie,
Krew z potem mieszać w trudzie i znoju.

Bagnetów trzony w moskiewskie flaki
Wbijać pod Grodnem albo pod Lidą,
Być, jak wędrowne bez gniazd swych ptaki,
Co wszędy z hasłem „za wolność" idą.

A na to kapral, chłop tęgi, z wiary,
„Za wierną służbę“ blaszkę posiada,
Krzyżów przeróżnych ma trzy coś pary,
Skręci „cienkiego" i tak powiada:

„Nie na to miałeś karabin w dłoni,
Byś przez ustanku prał hordy wraże;
Moch kark przed Polską w pokorze skłonił
I słucha teraz, co Dziadek każe.

Rozkaz spełniłeś — Ojczyzna silna.
Polskę trza wznosić mocno: — rękami.
Od wzgórz Karpatów do murów Wilna.
A teraz: Baczność! — Odlicz sekcjami!"

Jan Ruff.

NASZ BOHATER.

Żołnierzyku szary
cichy bohaterze!
Za tę krew, co lejesz,
Polska chwałę bierze.

Żołnierzyku szary
z odrapanych kwater,
nie w pałacach mieszkasz,
przecież-eś bohater.

Nie piszą ci pieśni,
nie piszą ci wierszy,
a przecież Ojczyzny
jesteś syn najpierwszy.

Choć wrócisz bez portek,
wrócisz bez koszuli,
wdzięczna cię Ojczyzna
do serca przytuli.

Siedzi Sejm w Warszawie
i prawa stanowi:
rozdaje w nagrodę
ziemię żołnierzowi.

Chociaż cię dziś wojna
po wertepach goni,
powrócisz do swoich,
każdy się pokłoni.

(bh.)



Bolszewik do litwina: Ty głupi, nie bój sze, mi tera dwa druhy...
O, widzisz, cacy... cacy...
— Tak... a jak polak strzeli, to będzie i po cacy i po twoich prezentach.

W SKLEPIE PASKARSKIEGO.

W trzy dni po rozejmie dwa łaziki wchodzą do jednego ze sklepów warszawskich. Przyszła im ochota na sardynki.

— Ile kosztuje?

Cena ich przeraża. Aż Antek, starszy, powiada:

— Jakże to, panie? Przed 4 dniami kupowałem, były o połowę tańsze.

— Ach!—odrzecze Paskarski — to były jeszcze ceny przedrozejmowe.

OBRAZOWY JĘZYK.

Józek i Felek, dwa stare leguny, rozmawiają o polityce. Aż naraz Józek się zniecierpliwił oporem, jaki stawia jego wywodom Felek.

— Wiesz Felek, żebyś ty był taki długi, jak jesteś głupi, tobyś mógł klęcząco księżyc pocałować w odwrotną stronę.

ZAWSZE KORZYŚĆ.

— Wojska nasze nabrały jeńców sowieckich wprost tysiącami. Czem my ich nakarmimy?

— To nic... Za to przy pilnowaniu jeńców nasze Bartki i Wojtki nauczą się trochę rachować.

CENNE ŚWIADECTWO.

Wielu ochotników, zwłaszcza starszych, żałuje że nie zgłosili się do służby w Krakowie. Chodzi im bowiem o krakowską oznakę ochotniczą z zaszczytnym napisem — „Stanął w potrzebie".

PRAKTYCZNA RADA.

Oj z dziewczyną to nie drwiny,
Jak ognia strzeż się dziewczyny:
Bo każda z nich jest fałszywą, nieszczerą, zdradziecką:
Da ci klusek z okrasą, a potem ma dziecko.

„ZAWIESZENIE BRONI".

I.

Te pierony, te sowiety
Biegły na wyścigi
I krzyczały wciąż: „O rety,
Chodźcie tu do Rygi!
Lecz że chcecie nas już dobić,
Że Piłsudski goni,
Więc przychodźcie, bo czas zrobić
Zawieszenie broni!"

II.

„Gdy nas polak w zadek łechce,
Bić się nie opłaca...
Nikt już z nami gadać nie chce,
Każdy się odwraca.
Choć się nasz o sojusz stara,
Każdy od nas stroni;
Więc przychodźcie, zrobim zara
Zawieszenie broni".

III.

„W Moskwie mamy już zamęty
Lud się na nas burzy,
A ta wojna, czort przeklęty!
Tak się jakoś dłuży,.
Chleba niema skąd już zbierać,
Armat brak i koni,
Więc najwyższy czas zawierać
Zawieszenie broni".

IV.

Szachru, szachru szachrowali,
Aż wycyganili
I ochoczo podpisali
Zaraz w pierwszej chwili.
Lecz nie trzeba się rozgrzeszać.
Niechta pokój kapie.
My nie będziem broni wieszać,
Jeno trzymać w łapie.

B. S.

TCHORZ.

Na nutę: „Niedaleko od Krakowa".

Dzisiaj już powiedzieć mogę wam:
nerwy bardzo delikatne mam.
Krew zobaczę, choćby z nosa — to
zaraz robi mi się strasznie mdło.

Ząb dentysta mi wyrywał raz,
tom ze strachu aż na sufit lazł.
Kiedy matka zaś rodziła mnie,
to krzyczałem, że napowrót chcę.

Gdy na wojnę cały naród szedł,
wnet spociłem się od a do zet.
A gdy tylko słychać odgłos kul,
zaraz mówią, że śmierdzę, jak Srul.

BARTEK-OCHOTNIK.

Idzie Bartek, idzie, kosa w garści błyska;
setny on gospodarz, patrzta się ludziska!
Oj, w drogę mi nie właźcie,
bo zdzielę, że wciornaście...
Jam pan tu sam u siebie,
jak Bóg w niebie.

Idzie Bartek, idzie, zboże mu się kłoni:
nie daj-że mnie, Bartku, zbierać wrogiej dłoni.
Oj, nie dam, ziemio żyzna,
boś matka i Ojczyzna!
Jam pan tu sam u siebie,
jak Bóg w niebie.

Idzie Bartek, idzie, gada jemu pole:
nie daj-że mnie, Bartku, wrogowi w niewolę.
Oj, krwią cię swą napoję,
a nie dam, boś ty moje.
Jam pan tu sam u siebie,
jak Bóg w niebie.

MADELON [1]).

— Czy wiecie chłopcy kto to była Madelon? Nie? No, to wam opowiem.

Madelon znaczy po naszemu: Magdzia, Magdusia, Magduleńka.

Na wąziutkiej ale za to brudnej uliczce Mouffetard, czy też innej w Paryżu, tak samo śmierdzącej, gdzie gniją kupy skorupek od jaj i raków, głąby i liście od jarzyn, które sklepikarze gotują lub smarzą na zjełczałej oliwie, sprzedając już gotowe do zjedzenia ubogim mieszkańcom tej dzielnicy; gdzie włóczą się codzień kieszonkowi złodzieje, a nocą gorsi jeszcze „apasze" — mieszkał sobie węglarz z żoną i córką. Pani węglarzowa szeroka była jak piec, niewiadomo z czego, boć każdy wie, że w tej dzielnicy ludzie pasztetów ani bażantów nie jadają. Chyba jeno z onego nieustannego swędu prużących się tłuszczów, któremi ziônął zaułek.

Szeroka i krwista baba ma, wiadomo, ciężką rękę. Taka to ręka spadała przynajmniej raz na dobę na głowę, nos i kark zacnego ojca Mathieu. Tak się zwał węglarz.

Człowiek pracujący całe życie w tak ponurym i czarnym interesie, jakim jest węgiel, nie może być wesoły i czarno patrzeć musi na świat. To też ojca Mathieu gryzła melancholja i po dziennych trudach lubił ją zapijać absyntem w narożnej gargocie czyli knajpie. Utyskiwał tam wraz z towarzyszami, niezadowolonymi jak on ze świata, na rząd, drożyznę, podatki, a w końcu wszyscy kupą psy wieszali na swoich babach, prawdziwych djablicach. Gdy wreszcie ojciec Mathieu około północy niepewnym krokiem wracał do domu, matka Mathieu puszczała w ruch, już od samych drzwi, swą żylastą prawicę i inne naczynia domowe.

Przed wojną, gdy świat pokojowo był usposobiony, ojciec Mathieu nie zważał na owe ciosy. Skuliwszy głowę w ramiona, zataczając się, właził pod kołdrę. Lecz gdy wybuchła wojna, a z nią wzmógł się animusz wojenny do tyla, że nawet koty na dachach goręcej wydrapywać sobie jęły ślepia — ojciec Mathieu wyobraził sobie, że jest conajmniej generałem, a jego połowica twierdzą, którą należy zrównać z ziemią. Od tej pory istne piekło nastało w pokoiku i kuchni państwa Mathieu, a wojna domowa wylewała się czasem aż na asfalt podwórka ku uciesze sąsiadów. A stało się to poraz pierwszy wtedy, gdy matka Mathieu, wyczerpawszy już wszystkie pieszczotliwe nazwy, któremi obdarzała swego małżonka, jak: paskarzu, hyclu, zbóju—natarła na niego z impetem szwadronu kawalerji, krzycząc z furją:

— Ty pruska świnio.

Tego już było nadto ojcu Mathieu, który pamiętał oblężenie Paryża w r. 1870, a i teraz poznał, co to za ścierwo prusak. I nastała między węglarzem i jego żoną bitwa, jakiej zaułek nie pamiętał, a z której wyszli oboje posiniaczeni i krwią zlani.

Nie mogła na te awantury patrzeć Madelon.

Miała wtedy lat szesnaście i była—ot, jak wszystkie bez mała dziewuchy w jej wieku: świeża, biała, rumiana, cienka w pasie, z czarnemi jak djablik oczami, czarnym warkoczem wiecznie roztrzepanym, z zębami jak cukier i wargami czerwonemi, co się zawsze śmiały. Aż dziw brał, skąd się takie to miłe i zdrowe wylęgło w śmierdzącym zaułku?

— Maman, papa! — prosiła wtedy — dosyć już, dosyć!

Ale nie pomagało to nic, jeszcze nieraz sama oberwała. Uciekała wtedy na miasto patrzeć na żołnierzy, idących na front. A strasznie lubiła tych żołnierzyków francuskich, tak wesoło maszerujących ku obronie ojczyzny i gdyby miała miljony, wydałaby je wszystkie na papierosy i czekoladę dla nich.

Ale nie miała nic.

Któregoś dnia, niosąc chleb do domu zastała przed drzwiami istne piekło. Ojciec z matką wodzili się za łby po całem podwórku, a sąsiedzi się śmieli. Niewiele myśląc, chwyciła Madelon wiadro pełne wody i chlusnęła je na rodziców. Rozlecieli się na dwie strony, ale Madelon za karę zamknięta została w drewnianym składziku od węgla na dwadzieścia cztery godzin o chlebie i wodzie. Gdy nazajutrz rano ojciec Mathieu poszedł ją wypuścić z więzienia, znalazł wyważoną w ścianie deskę, a skład pusty. Na bryle węgla leżała kartka na której wyczytał:

„Dość mi już tego. Idę na wojnę. Wolę patrzeć, jak nasi żołnierze tłuką szwabów, niż jak wy się bijecie. Madelon".

I już jej odtąd nikt w domu nie widział.

(D. c. n.)

[1]) Wymawia się Madelą, z akcentem na ą.

PO NAJŚCIU BOLSZEWIKÓW.

(Autentyczne).

— Nie macie, matko, jaj?

— A gdzieżby ja miała, panoczku! Bolszewiki byli, męża zabrali, syna zabrali, wszystko zżarli, nawet Berezynę wypili.

NA NOWYM ŚWIECIE W WARSZAWIE.

— Józek, widzisz tego sakramenckiego eleganta?

— E, ten? To znany rycerz kresowy.

— Ale, a ja go nigdy na kresach nie spotkałem.

— Za to zastaniesz go codziennie trzy razy w „Kresach" na Nowym Świecie.

JĘZYK SŁUŻBOWY.

— Kapral, a wy gdzie się z sekcją wybieracie?

— Melduję posłusznie panu porucznikowi, pan doktór bataljonowy kazał ludzi przyprowadcić żeby im zafasować cholery.

U NAUCZYCIELA ŚPIEWU.

Do nauczyciela śpiewu zgłasza się okazały chłop. Dwa metry wzdłuż, metr wszerz. Nauczyciel próbuje, jaki głos ma nowy uczeń. Chłopisko śpiewa co gardła starczy, ale jakoś nie idzie.

Wreszcie nauczyciel z przekąsem pyta:

— Jaki głos posiadasz pan, pańskiem zdaniem.

— Baryton!—odpowiada z dumą.

Na to nauczyciel pokiwał głową i mówi:

— No, bary to pan masz, ale z tonem jest gorzej.

CO MOWI ŁAZIK?

Podobno nas mają puszczać do domu. Niektóre to się już tak rwą do tego, że w koszarach usiedzieć nie mogą.

Ale spotykam wczoraj Antka Cwaniaka, z którym kiedyś bez omyłkę bruderszaft piłem i tak mi wziął sprawy nasze malować, że muszę wam, moje kochane, całą jego prelekcję powtórzyć.



— Byłem — powiada — bez cztery lata w Rosiei, a tera, jakem wrócił, narodu nie poznaję. Powiadają, że dziś mamy w Polsce wolność, ale co to za wolność!... Boże odpuść!

Mieszkałem ci dawniej w Warszawie, we własnej posesji, zara kiele trzeciego mostu, czwarty krzak na lewo, zielone firanki... Drzwiów tam coprawda nie wstawiono, więc lokal był trocha cugowy, a że i sufitu brakło, bo fuszer budowniczy o tej wygodzie przepomniał, to jak deszcz lał, szprycowało ci, bracie, na łeb, że i straż ogniowa lepiejby nie umiała... Ale, zresztą, mieszkanie w upał ciepłe, w dzień widne, w pogodę suche, a głównie to, że nie bardzo drogie, bo i bez ochrony lokatorów żadnego gospodarza na oczy nie widzielim i żaden rządca także o mendelek nie pytał.

Czasem ino zabłąkał się tamuj jaki gęsi ogier z rataja... To mu się zęby w ceferblacie porachowało i miał dosyć. Więcej się nie czepiał. Ale najczęściej i tyla kłopotu nie było, bo przeważnie trafiał się swój człowiek, jenteres rozumiejący. Toś go do restauracji zaprosił—jeden, drugi kilonek pieprznej, potem co gorącego... Jest?... Niema?... Szkło od lampy?... Dobra, wszystko jedno, niech będzie.

W trymiga schlał się Wańka na zielono i nabożeństwo do świętego Fiksatuara odprawiał.

To jak sobie już ćwak zalał, mógeś go razem z szabliskiem i spluwą do kantu odstawić, kotletem z siwą brodą poczęstować, a jeszczeby prawej ręki od lewego ucha nie odróżnił.

Morowe ci byli te prawosławne caszy. Doliniarz z policajem sztabe trzymał, razem na robote chodzili i razem zalewali robaka. Za 12 i pół kop. miałeś herbatę z muzyką, a ruskie szampańskie mógeś butem doić.

Nie to, co tera. Te polskie policaje żadnego fasonu nie mają. Każdy grafa ci udaje, porządnemu kanciarzowi nawet łapy nie zafonduje, a jak się trafi nawet kiedy morus z naszej partji, to konspirować musi, jakby socjalistą był, abo inszym domokradą.

Bez to już i dawnej zabawy niema. Za byle co człowieka przymkną, a weńdziesz bez lufcik nieproszony do znajomego, zatkasz babie gębę gałganem, żeby se gardła nie darła, to cię mogą, jak nic, pozbawić praw szczególnych i jeszcze na dokładkę rozstrzelać.

To to taka ma być swoboda? To taka ma być wolna, nieprzymuszona Polska?

Ale poczekaj—mówi dalej Antek—tera niedługo wszystko się poprawi. Pokój się wyrygał więc zara was zdemobilizują i z całego tego wojska ino okruchy zostaną. To mnie powiedział jeden Dymitr, co dawniej w wydziale śledczym za pisarza był, a obecnie jest w Warszawie w poniedziałki, środy i piątki tajnym ambasadorem Lenina, a we wtorki, czwartki i soboty półoficjalnym posłem gen. Wrangla — że niech się tylko Polska rozbroi, zara tu albo Trockiego z tarczą Dawida, albo Denikina z dwugłowym orłem przyślą i porządek zrobią. Jak będzie trzeba, to się nawet ze sobą pokumają: sam Jewłogij Trockiego przenicuje i zgodę u nich zrobi. Tymczasem jeszcze się tam one ze sobą tarmoszą, ale jeśli bolszewiki carskim, ani też carskie bolszewikom rady nie dadzą, to się kupą do polaków zabiorą, bo już nie mogą patrzeć na poniewierkę warszawskich cwaniaków, z którymi dawniej przecie nieraz bruderszaft pili.

A teraz bywaj zdrów, trzymaj się ciepło i krzycz, żeby was jaknajprędzej do domu puszczali, bo mnie już strasznie tęskno do dawnych, dobrych caszów.

NA KWATERZE W KOZIKISZKACH.

W Kozikiszkach za Lidą na kwaterze trzech panków debatuje nad mapą.

— Julek, a gdzie to my jesteśmy?

— A no tu.

— A gdzie ta linja skurczona, co to o niej tyle pisali?

— Ano widzisz rozkurczyła się i zwisła.

Z KSIĘGI PRZYSŁÓW ŁAZIKOWSKICH.

Kochaj bolszewika — jak Lloyd - George irlandczyka.

OGŁOSZENIA Z ROSYPANEJ SZPALTY.

Biorę do sztukowania żydowską młodzież akademicką.

Wezmę na pensjonat karaluchy, pluskwy, prusaki i inne robactwo.

Proszek perski „Eureka” tępi doszczętnie ruchliwych agentów ogłoszeniowych i asekuracyjnych.

Mam stałe i korzystne zajęcie dla mało używanych łóżek z materacami sprężynowemi.

Do sypialni w stylu Ludwika poszukuje się wołu roboczego.

Z ROZMOW TELEFONERA.

W cukierni na Gęsiej jest wielkie poruszenie z powodu bliskiego zakończenia wojny.

Telefoner, jako służący w taborach, uważany jest za znawcę spraw militarnych.

Pyta go Kuba Kurcszwanc:

— Telefoner. Ty powiedz mnie, co to jest wogóle wojna?

Telefoner na to:

— Ja tobie opowiem jedne historje. Raz w szabas ja sobie poszedłem na spacer za miasto z moim kolegą Pistoletem. To był szliczny dżeń. Słońce sobie figlowało na niebie. Pitaszki szpiwały, a żabki sobie skakały po żelone trawkie. To ja jego mówię: Ty chcesz, Izydor zarobić 100 marek odrazu? — Ojej!



— To ty zjedz żabę.

Izydor sze namyślał i zjadł ten cymes.

Ja byłem zły, co muszę jego dacz 100 marek, ale sze śmiałem, co on zjadł żabę.

— Owa! co za sztuke zjeszcz żabę.

Un sze rozgniwał i mówi:

— Jak ty mówisz, co to nie sztuka, to ja tobie dam 100 marek, jak ty zjesz żabę.

Ja pomiszlałem, co jak zjem żabę, to przecie nic nie zapłacę ani grosza; złapnąłem i zjadłem.

Potem my idżemy sobie dalej i trzymamy sze za brzuchy.

— Oj, Izydor, poco nam był ten interes. Ty zjadłesz żabę, ja zjadłem żabę...

Żaden nic nie zarobił i mamy nieprzyjemne szcziskanie.

Teraz wisz, Kuba, co to jest wojna?

*

Tamże Telefoner opowiada o bojowych swych przygodach.

— Uj, raz to ja sze biłem z bolszewikiem aż strach!

Jak un do mnie, to ja od niego. Jak un na mnie, to ja pod niego. Oj, to on by dostał, gdybym ja zaraz sze nie schował.

*

U Telefonera odbywa się uroczystość obrzezania pierworodnego syna.

Z racji tego święta zaprosił swych kolegów z dywizjonu i sierżanta szefa. W czasie kolacji zwierza się Telefoner z kłopotu, jaki ma z meldowaniem syna.

— Panie szerżant, co ja mam z nim zrobicz? Jak ja jemu zamelduje wcześniej, to będzie gorzej jak un pójdzie do wojska. Jak — później, to znów źle do ślubu. A sierżant:

— Głupi jesteś. Zamelduj go na czas.

— Uj, to to tak możno?

*

— Telefoner, mówi, Kuba Kurcszwanc, ja jestem ogromnie chory. Ciągle mnie szczyska w dołku i latam do jedne miejsce.

— Co tobie jest?

— Doktór mówi, co katar w kiszki.

— Katar? Ja tobie dam dobre lekarstwo: ty łykaj chustki do nosa.

*

— A ty, Telefoner, co tu u nas w koszarach porabiasz? Wszak wojna się kończy i już cię odpuścili do cywila. Czegóż jeszcze chcesz?

— Jo wiem, że już blizko jest pokój, to przyszedłem zapitać, może państwo mają co ze starzyzny: jakie używane szrapnelów, może co z garderoby lub ze starych armat, a może ciapków?

*

— Telefoner, co powinien zrobić, artylerzysta gdy zajedzie na pozycję?

— On potrzebuje zajechać tyłem z końmi do nieprzyjaciela.

— Dobrze; a co później?

— On potrzebuje armatę nabić.

— Coraz lepiej; następnie?

— Następnie to on potrzebuje dobrze na wroga wycelować.

— Świetnie. A w końcu?

— W końcu to on potrzebuje kogo poprosić żeby z te armate wystrzelił.

*

— Powiedz Kuba, co to jest:

Każdy człowiek to mieć muszi, stoi w nocy pod łóżko i zaczyna sze na „n”.

— Uj, Telefoner, to ty jestesz szwinia!

— Co szwinia, ty głupi. To jest buty.

— A dlaczego sze zaczyna na „n”?

— Własznie, to jest całe zagadke...

*

Telefoner, czy ty kupisz miljonówkę?

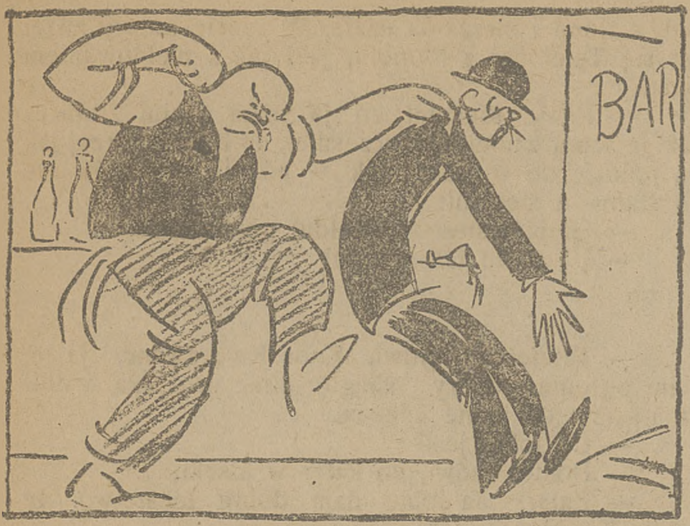
— Co nie mam kupicz. Przy moje szczęszcze (tfy, tfy) do gry, to ja muszę wigracz. Ty słuchaj, Kurzszwanc, te historje.

Raz mnie sze szniło dwie cyfry 7 i 9. I co ty powisz? wigrał na loterje numer 72.

— No, ale gdzie masz z 7 i 9 numer 72?

— Uj, ty frajer. Czy jak ja rachuje, to 7 razy 9 muszi bić zaraz 63? To czi ja nie wigram na miljonówkę?

PRZEDWOJENNE ZAJĘCIA MINISTRÓW SOWIECKICH.



Komisarz wojny.



Komisarz spraw wewnętrznych.



Komisarz skarbu



Komisarz zdrowia publicznego.



Komisarz spraw zagranicznych.



Komisarz przemysłu i handlu.

W A R S Z A W A 24-GO P A Ź D Z I E R N I K A 1920 r.

Redaktor odpowiedzialny: S. Michalski.

Wydawca: Tow. Akc. „ŁAZIK" Druk S. Michalskiego Chmielna 60.